

# Wojna, Bułan i rzeź na Wołyniu.



Tadeusz Jaworski podczas retrospektywy w Muzeum Kinematografii w Łodzi w 2012 r.

## Filmowa wędrówka przez życie

**Tadeusz Jaworski (właśc. Tadeusz Vogel)**

*Opracowanie tekstu i redakcja: Joanna Sokołowska-Gwizdka*

Będąc podczas wojny stajennym w Rudnikach, znalazłem w pracy przy koniach ogromną radość. W stajni byłem sam, odseparowany od świata i ludzi. Byłem tylko z końmi.

Wyrzucałem gnój, myłem je i szczotkowałem, wyprowadzałem na dwór na pastwiska. Ale i tu przydarzyło mi się coś nieoczekiwanego. Między mną, a jednym z koni, któremu dałem na imię Bułan, nawiązała się prawdziwa przyjaźń. Bułan był pięknym podrasowanym ogierem o wspaniałej sylwetce i mądrych oczach, których nigdy nie zapomnę. Każdego dnia o świcie, kiedy zjawiałem się w bramie do stajni, już z daleka słyszałem jego rzenie. Codziennie przynosiłem mu marchewki z folwarcznego ogrodu, którymi się zajadał. Bułan stał się też moim partnerem.

Rozmawiałem z nim i czułem, że mnie rozumie. Okazywał mi coraz więcej zaufania.

Do dziś widzę go wyraźnie w snach. Wysmukły, z rozwianą grzywą, w szalonym pędzie mknie wśród łąk i pól mojego ukochanego Podola. W jednym z tych sennych marzeń widzę też siebie jak idę nad krawędzią przepaści, przy ogromnej, kamiennej ścianie. Przystaję na chwilę i patrzę w dół na gigantycznych rozmiarów dolinę, z rozległym widokiem na łąki i srebrzącą się w słońcu wstęgę rzeki. Nagle tracę równowagę, chwieję się, oblewa mnie zimny pot i strach podchodzi mi do gardła. W tym momencie nie wiadomo skąd pojawia się mój Bułan, tym razem jako Pegaz - skrzydlaty rumak, a ja wskakuję na jego grzbiet i fruniemy razem nad niekończącą się, kwitnącą doliną.



W czasie okupacji należałem do Armii Krajowej. Jako nastolatek zostałem oficjalnie zaprzysiężony w domu nauczyciela gimnazjum w Zabłotowie, komendanta AK, w asyście drugiego członka AK, z zawodu inżyniera. Ponieważ miałem Bułana, zostałem łącznikiem, który rozwoził podziemną gazetkę, dostarczając ją do wyselekcjonowanych polskich rodzin w okolicznych wioskach: Rudnikach, Dżurowie, Ilińcach, Chlebicznie i Świętej Trójcy. Raz na dwa tygodnie zjawiałem się na Bułanie w Zabłotowie po odbiór gazetek. Była to stosunkowo niebezpieczna praca, ponieważ w każdej chwili mogła mnie zatrzymać i zrewidować ukraińska policja albo niemiecka żandarmeria, tak zwani "blacharze".

A wtedy kula w łeb.

Jednego dnia nie zdążyłem się w porę ulotnić i wychodząc z końskiej stajni na klepisko folwarcznego placu, znalazłem się twarzą w twarz z oficerem gestapo. Od czasu do czasu zjawiali się w *Liegenschaft* (folwarku) ukraińscy policjanci w asyście Gestapo, bądź *Sonderdienst* po zboże i inne wiktuały. Pamiętam do dziś jego twarz, która była kredowego koloru. Pod nosem miał przystrzyżony czarny wąs a'la Hitler. Czarny mundur z czerwoną opaską na ramieniu, z czarnym *hakenkreuzem* (swastyką), przy boku z przodu w kaburze trzymał pistolet - Parabellum, a na głowie czapka z symbolem trupiej czaszki.

Sam widok tego monstra mógł przyprawić człowieka o nerwowe drgawki. Przez chwilę wydawało mi się, że jest to koniec i nie tylko mój, ale i całej mojej rodziny, zarówno w Rudnikach, jak i w Dżurowie, gdzie byli rodzice i moja najstarsza siostra Marysia Sonia, z synkiem Jurkiem.

Gestapowiec spojrzał na mnie badawczo. Na moją jasną czuprynę i niebieskie oczy. Czuję, że krew odpływa mi z twarzy. Na czole wystąpiły mi gęste krople potu. Zastygłem w bezruchu nie mogąc się ruszyć z miejsca. Stałem pełen lęku i niepewności co stanie się ze mną w następnej minucie. Nogi ugięły się pode mną, miałem wrażenie, że są miękkie jak z waty. Poczułem szum w skroniach, a między palcami mrowienie. Gestapowiec cały czas mi się przyglądał. Ogarnęło mnie złe przeczucie. Nagle, bez najmniejszego powodu, wyrwał gwałtownie spod pachy czarnego koloru nahajkę, taki skręcony pejcz i zdzielił mnie bardzo mocno przez ramię i plecy. Padłem na klepisko u jego nóg. Zanosząc się płaczem podniosłem się wolno z ziemi. Zapewne "wzruszył" go mój płacz i moje szlochanie, ponieważ nie ruszywszy się z miejsca, uderzył mnie tym razem z całą siłą kulakiem w twarz.

Znowu padłem na ziemię. Z nosa i warg poleciała mi krew, a w ustach poczułem jej smak. Na klęczkach, zgięty w pół, nie podnosiłem się z ziemi. Ogarnął mnie śmiertelny strach. Zadawałem sobie pytanie kim jestem i co tu robię. Trwałem tak skamieniały w bezruchu. Po chwili gestapowiec odwrócił się na pięcie, włożył pod pachę pejcz i rzucił w moją stronę to ich oklepane: *ferfluchte Dreck... Polnische Schwein* (niem. przeklęty śmieciu... polska świnio), po czym jakby nigdy nic, wolnym krokiem odszedł w stronę pałacu. Nie był butnym młokosem. Miał około pięćdziesięciu lat. W Niemczech zapewne miał kochającą żonę i być może dzieci w moim wieku.

Usiłowaliśmy wytrwać do końca tej nieludzkiej apokaliptycznej katastrofy z przyłożonym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę niemieckim Parabellum do skroni. Parabellum gestapowca, SS-mana, niemieckiego żandarma czy zwyczajnym karabinem ukraińskiego policjanta. Wyrok byłby wykonany na miejscu, przez strzał w tył głowy i wyrzucenie na folwarczne gnojowisko.

Zdarzały się też tragikomiczne sytuacje. Nasza sąsiadka Mańka Kowalska, żona Karola z zacnej starej polskiej rodziny, miała śliczną 16-letnią córkę Jadzię. Nic więc dziwnego, że obawiała się, aby banderowcy z lasu jej nie zgwałcili. A takie akty były wtedy nagminne. Któregoś dnia Mańka Kowalska udała się furmanką wraz ze swoim mężem Karolem do Zabłotowa i tam w zakładzie pogrzebowym udało jej się tanio wyszabrować trumnę. Według relacji Mańki, ponoć właściciel zakładu pogrzebowego, spytał ją: *co się stało, czyżby Ukraińcy kogoś zabili?* Na co Mańka odpowiedziała: *nie, na razie nie, ale potrzebuję trumnę tak na wszelki wypadek.*

Kiedy zjawiali się banderowcy, Mańka Kowalska była przygotowana i w jednym z pokoi, na ustawionym katafalku, kładła swoją dorodną córkę do trumny, wciskała jej w skrzyżowane ręce zapaloną gromnicę, ustawiała kilka wazoników z kwiatami i kazała jej leżeć nieruchomo pozorując śmierć. Sama siadała na krzeselku przed trumną i modliła się. Skutkowało. Trupa niewinnej dziewczyny ludzie z lasu nie ruszali.

Któregoś dnia usłyszeliśmy we wsi strzelaninę. Pobiegłem do Mańki Kowalskiej z wiadomością, że we wsi chyba są banderowcy. Przy całej grozie sytuacji, nie zabrakło wówczas akcentu komediowego. Jadzia Kowalska, wpadła do pokoju i krzyknęła: *Mamo, czy mam kłaść się do trumny? Bo może oni chcą tylko samogon i sobie pójdą!* - *Nie gadaj głupstw moje dziecko* - odpowiedziała Mańka - *właż do trumny i udawaj martwą.* Mańka Kowalska jak zwykle usiadła na krzeselku i oddała się modłom, a ja cichcem, bocznymi drzwiami wróciłem do naszej chałupy. Ukraińcy wymachując karabinami, szybkim krokiem oddalili się, śpiewając uwielbianą przez siebie piosenkę: *...smert' ..smert' Lacham ...smert' moskowskij żydiws'kij komuni.*

I znów udało się Jadzi zachować dziewictwo.



Polska wieś na Wołyniu.

Około 12-tej w nocy nasze przewidywania masakry, którą mieli dokonać ukraińscy „rezuni” (mordercy, od ukraińskiego „rizun” - rzeźnik, przyp. red.), sprawdziły się co do joty. Niektórych znaleźliśmy od lat, wielu z nich było naszymi folwarcznymi sąsiadami, większość pochodziła z Rudnik lub z okolicznych wiosek. Przybyli jak szaleńcy konno z płonącymi pochodniami w ręku podpalając po drodze chałupy jedną za drugą. Polskie domostwa ogarnięte płomieniami paliły się szybko jak stogi suchego siana. Zaczęła się strzelanina. Słysząc było rzenie koni i dzikie wycia „rezunów”: *rizaj lachiw*. Dochodził do nas czarny dym i swąd spalenizny. Kierowany zapewne instynktem przetrwania poleciałem w stronę stajni, gdzie dosłownie w mgnieniu oka zaprząłem przygotowane na wszelki wypadek i czekające w chomątach dwie białe kobyły do drabiniastego wozu. Mojego ogiera Bułana przyczepiłem sznurem z tyłu do wozu.

Przez lata okupacji pracując jako stajenny chłopak, nabrałem doświadczenia w pracy w koźmi. Wypuściłem ze stajni na wolność wszystkie konie i źrebaki, którymi się opiekowałem i które mogły spłonąć wraz ze stajennymi zabudowaniami. Z domu Kowalskich wybiegł Karol i również zaprzął dwa inne konie do drabiniastej furmanki. Wszystko odbywało się jak w makabrycznym śnie, w pośpiechu. Każda następna minuta, zbliżała nas do nieuniknionej męczeńskiej śmierci. Strzelanina była coraz bliższa. Słysząc było krzyki ludzi. Jak świece tu i

ówdzie we wsi buchały płomieniami polskie chaty. Zacięliśmy z Karolem bicze i ruszyliśmy w stronę naszej chaty, gdzie czekały na nas kobiety i dzieci. Słyszeliśmy wściekłe krzyki i przekleństwa po ukraińsku oraz strzelaninę blisko nas. Po drodze chcieliśmy zabrać ze sobą jak najwięcej ludzi, nasz drabiniasty wóz był duży, ale zabraliśmy tylko kilka osób. Z pewnością inni nie zdążyli uciec spod noża i siekiery „rezunów”, stając się kolejnymi ofiarami rzezi. Znów buchnął ogień w jednej z sąsiednich chałup zamieszkałej przez polską rodzinę, potem w drugiej i w trzeciej. Zaczęła się rzeźnia. Zamordowano naszych bliskich sąsiadów, o czym dowiedzieliśmy się dopiero po wyzwoleniu. Następni w kolejce byliśmy my. Zaciąłem mocniej batem. Nasze kobyły ruszyły z miejsca jak z bicza trzasnął. Wprowadziliśmy je z miejsca w pełny galop. Bułan uwiązany z tyłu wozu starał się wszystkimi siłami zbalansować swój bieg. Trzęsąc się ze strachu, w popłochu cudem uciekliśmy unikając masakry ze strony banderowsko-petlurowskich, nacjonalistycznych, barbarzyńskich hord. A dzieliło nas od nich tylko kilkanaście metrów. Przemierzaliśmy tę nieskończoną drogę w ciemną noc, rozświetloną jedynie pożarami, w pełnym galopie. Z koni buchała para. Dochodziło do mnie ich ciężkie sapanie i burczenie w bebeczach. Żal mi ich było, ale chyba rozumiały, że w ich nogach i wytrwałości jest nasze ocalenie.

Naszym celem było jak najszybciej dotrzeć do Zabłotowa, miasteczka, gdzie była duża polska kolonia, składająca się głównie z pracowników lokalnej fabryki tytoniu oraz ich rodzin. Drogę do Zabłotowa jak i drogi w całej okolicy znałem na pamięć, ponieważ przejeżdżałem je setki razy na moim Bułanie, kolportując otrzymaną od moich szefów z AK podziemną prasę.

Kiedy w galopie przejeżdżaliśmy przez wioski objęte „rzeźnią”, dochodziły do nas nieco odległe, lecz słyszalne głosy rozbestwionych banderowców, błagalne krzyki i jęki mordowanych ludzi oraz towarzyszące temu pojedyncze strzały z karabinów. Uratowała nas nie tyle „zimna krew” ile nasze silne konie i duże, wyłożone słomą, drabiniaste wozy. Zbliżyliśmy się do Zabłotowa. Na rogatkach miasta płonęła już kolejowa stacja i szkoła. Naszym celem był kościół i plebania, położone w centrum miasta, nad niezbyt szeroką, płynącą w dole spokojnym nurtem rzeką, z wysokim murem nad nią. Przywitał nas z karabinem w ręku nasz dobry znajomy i przyjaciel, proboszcz parafii, ksiądz Rozlepilo, który w czasie pierwszej wojny światowej był kapitanem w austriackim wojsku i który objął wraz z wikarym księdzem Weńkiem dowództwo obrony kościoła i plebanii. Z naszych koni buchała para, a z ich pysków leciała biała piana. Było mi przykro, że je tak ostro z Karolem

pogoniliśmy. Ale uratowały nam życie. Byłem im wdzięczny. Do czasu wkroczenia wojsk sowieckich opiekowałem się nimi, karmiłem je i czyściłem, tak samo jak dbałem o mojego przyjaciela, ukochanego przeze mnie Bułana.



Wołyń. Spalona wieś.

W pewnym momencie jak *deus ex machina*, w kościele rozbrzmiał dźwięk muzyki organowej. Okazało się, że nasz miejscowy organista dla podniesienia ducha zaintonował znaną religijną pieśń, którą podchwyciło najpierw kilka osób, a następnie cały kościół wypełnił się echem wielu męskich i żeńskich głosów.

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki*

*Otaczał blaskiem potęgi i chwały,*

*Coś ją osłaniał tarczą swej opieki*

*Od nieszczęść, które przygnębić ją miały!*

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie*

*Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!*

*Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem*

*Wspierał walczących za najświętszą sprawę,*

*I chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem*

*W nieszczęściach samych pomnażał jej sławę.*

*Crescendo* tej pieśni rozeszło się echem, po głównej nawie i bocznych kaplicach. W powietrzu unosił się zapach palących się świec i parafiny. Kościół, w którym schroniły się ocalałe kobiety i dzieci z Zabłotowa i z okolicznych wiosek, stał się naszą małą obronną twierdzą. Zaczęło się oblężenie i obrona kościoła. Wszyscy mężczyźni, nie pomijając mnie, mimo że byłem jeszcze młokosem, podobnie zresztą jak moi przyjaciele – bracia Budzianowscy i Śmietańscy oraz starszy od nas mój szwagier Józek Kitnar, dzierżąc w ręku karabiny, stanęliśmy dumnie na murze otaczającym kościół i plebanię, gotowi do stawienia oporu atakowi ukraińskich „rezunów”. Naszym dowódcą był ksiądz Rozlepiło. Stał z karabinem skierowanym w stronę, gdzie w dolinie, za strumykiem ukryci w krzakach zaczęli się banderowcy. Przypomniała mi się scena z „Panoramy Raławickiej”, którą wiele razy oglądałem z ogromnym przejęciem we Lwowie. Na rozpędzonym koniu Tadeusz Kościuszko z wyciągniętą w górę ręką z szablą, na czele kosynierów naciera na wojska rosyjskie. Wprawdzie ksiądz Rozlepiło nie był na koniu i nie miał przed sobą Rosjan, nie mniej z karabinem w ręku wzniesionym w górę, w kierunku płynącej w dole rzeki, pokazywał nam kierunek natarcia. Po przeciwnej stronie, poniżej muru brzmiały dobrze nam znane z wielu innych wojowniczych okazji, banderowskie pieśni: *hej tam na hori sicz ide... czy wykosymo wsich Lachiw...* na dźwięk, których przechodziły nas ciarki. I wówczas ksiądz Rozlepiło gromkim głosem zaintonował pieśń, którą wszyscy obrońcy przy kościelnym murze podjęli i która niewątpliwie dodała nam animuszu i otuchy do stawienia czoła napastnikom. Była nią „Bogurodzica”, ta najdawniejsza ze znanych polskich pieśni religijnych z XIII wieku, piękna jako dzieło poetyckie, śpiewana jako pieśń bojowa i hymn narodowy przed rozpoczęciem bitwy pod Grunwaldem przez polskie rycerstwo.

Realizując w latach pięćdziesiątych film pod tytułem „Grunwald” według scenariusza, który napisaliśmy wspólnie z Marianem Brandysem, wykorzystałem



tę pieśń jako motyw przewodni.

*Bogurodzica, dziewica,*

*Bogiem sławienna Maryja!*

Z początku podjęliśmy ją za księdzem Rozlepiło pojedynczo, ale już po chwili pieśń była śpiewana przez kilkadziesiąt uzbrojonych mężczyzn, chóralnie i pełnym głosem, a jej brzmienie roznosiło się po najbliższej okolicy.

*Twego Syna Gospodzina,*

*Matko zwolena Maryja,*

*Zyszczy nam, spuści nam*

*Kiryjelejzon*

Nasza pieśń popłynęła przez rzekę, całkowicie zagłuszając wycie banderowców: *Hej tam na hori sicz ide*. Kościelny chcąc dodać rozbrzmiewającej pieśni jeszcze większe znaczenie uruchomił wielki dzwon. Rozniósł się więc po całej okolicy głuchy, niski w swojej tonacji i majestatyczny, wolno brzmiący dźwięk dzwonu, podkreślając dramatyczny nastrój sytuacji. A my obrońcy kościoła, siedząc za murem z bronią w ręku, kontynuowaliśmy śpiewanie „Bogurodzicy”:

*Twego dzieła krzyciela, Bożyce,*

*Usłysz głosy, napętn myśli człowiecze.*

*Słysz modlitwę, jąż nosimy,*

*A dać raczy, jegoż prosimy,*

*A na świecie zbożny pobyt,*

*Po żywocie rajski przebyt.*

*Kiryjelejzon.*

W tym samym czasie około 300 metrów od nas, na głównej ulicy Zabłotowa, toczyły się walki, w wyniku których Niemcy ponieśli totalną klęskę. Ten wojenny „teatr” z jednej strony sprawiał nam niewymowną radość i satysfakcję, z drugiej zaś nie bardzo wiedzieliśmy, jaką przyjąć postawę w stosunku do nacierającej armii sowieckiej. Pamiętaliśmy przecież ich bestialskie wyczyny z roku 1939-41. Jednakże fakt, że wyzwolénca armia sowiecka była tuż za rogatekami, dawało nam otuchę oraz nadzieję wolności. Przed nami stojącymi przy kościelnym murze z bronią w ręku, mając przed sobą nacjonalistycznych barbarzyńców przypominał nam, że dla nas wojna jeszcze się nie skończyła. Nagle na ulicy przed kościołem usłyszeliśmy przeraźliwy turkot gąsienic. Część z nas biegiem ruszyła w stronę ulicy. Wiele osób wybiegło również z kościoła. Przez ulicę przetaczały się sowieckie czołgi. W otwartych klapach stali do połowy widoczni sowieccy czołgisi, wymachując w naszą stronę rękami w geście powitania. A więc tak długo oczekiwane wyzwolenie. Jeden z czołgów odbił od kolumny i z przeraźliwym hukiem wtoczył się przez bramę na przykościelny plac. Otworzyła się kłapa, z której jak z procy wyskoczył młody sowiecki czołgista. Ksiądz Rozlepiło w poczuciu ogromnej radości podbiegł do niego i z płaczem rzucił mu się na szyję. Jednocześnie w kilku słowach i gestach poinformował go o ataku ukraińskich „rezunów”. Czołgista wskoczył z powrotem do czołgu i zamknął kłapę. Po chwili czołg ruszył ze zgrzytem gąsienic w stronę muru. Stanął z lufą wycelowaną w kierunku rzeki, gdzie po drugiej stronie ciągle strzelali banderowcy. Po chwili z czołgu posypała się seria za serią z maszynowych karabinów. Nie wiem ilu Ukraińców zginęło. Ci, co przeżyli uciekli w popłochu.



Bandy UPA odpowiedzialne za rzeź na Wołyniu, fot. Wikipedia.

Do miasta weszły kolumny sowieckiego wojska. Byliśmy uratowani. Uzbrojono nas w pepesze i rewolwery Naganty oraz amunicję. Przydzielono nam sowieckie „jeepy”. Poza mną do *istribitielnych bataljonow* zgłosili się moi przyjaciele Leszek Budzianowski i jego brat oraz Staszek i Ludwik Śmietańscy. Ruszyliśmy do wiosek Rudniki, Dzurów, Ilińce, Święta Trójca i Chlebiczyn. To co zobaczyliśmy przeszło nasze oczekiwania. Znaleźliśmy torturowanych i bestialsko zamordowanych polskich mężczyzn, kobiety i dzieci. Obcinano im żywcem ręce bądź ściągano z nich skórę. Nazywało się to w ich żargonie *rukawyci*. Siekierami przecinano na pół głowy i twarze. Ściągano żywcem skórę z piersi kobiet, bądź też je obcinano. Wbijano kobietom nóż w serce i w brzuch, wsadzano w pochwy noże i aby zadać więcej bólu przekręcano je pełnym obrotem. Mężczyzn kastrowano i wbijano żywcem na pale. Strzelano w serce, a potem wbijano noże w miejsce, gdzie przeszła kula. Dzieci zabijano waląc nimi o słupy. Torturowano i mordowano używając rzeźnickich noży, siekier i żelaznych prętów. Wrzucano granaty do wnętrz chałup.

W Rudnikach zatrzymaliśmy się nad wbitym żywcem na pal mężczyzną. Obok klęczała ukraińska stara kobieta, płacząc i modląc się. Szlochając spojrzała na nas i przez łzy zaczęła mówić. *Proszu Pana zabili joho... ja joho znała. Żywym*

*natiagnuły na pal. Wpersze wylupyły oczy i widrzyły uszy. Win straszno kryczaw... kryczaw... proszu pana.... a potim zbedły z niogo wid gołowy, do nig szkiru. Ja ce baczyła, proszu Pana. (Tłum. z ukraińskiego: Proszę pana, zabili go, znałam go. Wbili go żywcem na pal. Przedtem wylupali mu ozy i obcieli uszy. On strasznie krzyczał, proszę pana. Potem ściągnęli z niego skórę od głowy do stóp. Widziałam to, proszę pana).*

Przed nami na palu, zwisało bezwładne storturowane ciało człowieka bez skóry, z głową opuszczoną w dół. Spytałem tę kobietę, czy знаła tego człowieka w białego na pal. Kobieta odpowiedziała pozytywnym gestem głowy, że go znała. Spytałem więc, jak się ten człowiek nazywał. Odpowiedziała ze strachem w oczach *Kornel... Kornel... proszu pana... Kornel Burger... ja joho dobre znała*. Nogi się pode mną ugięły. Czułem, że pod moimi stopami ziemia się zapada. Łzy potoczyły mi się z oczu. Nie poznałem w człowieku wbitym na pal naszego przyjaciela Kornela Burgera. Jakże mogłem poznać to zwisające storturowane ciało. Kiedy uciekliśmy z Rudnik, Kornel Burger postanowił zostać i poprosić o pomoc komunistycznego partyzanta Mykołę i jego ludzi. To co go spotkało było nieludzką zemstą „rezunów” za to, że przez lata jawnie okazywał nienawiść do Ukraińców.

*Istriebitielnyje bataliony* miały jedno zadanie – ostatecznie rozprawić się z „rezunami”. Zadanie zostało przez nas wykonane i to z nadwyżką. Lufy naszych pepesz i naganów były gorące.

\*\*\*

Od kiedy istnieje świat, nietolerancja i nienawiść zawsze były udziałem człowieka. Patrząc na apokaliptyczny obraz masowej zbrodni, nie mogłem uwierzyć, że jest on prawdziwy. W tej tragicznej scenerii w jakiej się znaleźliśmy, próbowałem usilnie wniknąć głębiej w ludzką naturę i moralne pobudki ludzkich działań. Genialny Fiodor Dostojewski znakomicie pisał o paranoi ludzkiej „tłuszczy”, która prowadzi do masowej hysterii żądnej krwi podburzonego tłumu. To wszystko co zobaczyłem i przeżyłem w ciągu tych kilku dni na Wołyniu, biorąc udział w akcji *istriebitielnowo bataljona* starałem się przez całe życie wyprzeć z pamięci.

---

*Wspomnienia Tadeusza Jaworskiego ukazują się w pierwszy poniedziałek miesiąca. Dalszy ciąg wspomnień ukaze się w poniedziałek 7 maja 2018 r.*

## **Tadeusz Jaworski na Culture Avenue:**

<http://www.cultureave.com/tadeusz-jaworski-filmowa-wedrowka-przez-zycie/>

<http://www.cultureave.com/filmowa-podroz-przez-zycie-korzenie/>

<http://www.cultureave.com/filmowa-wedrowka-przez-zycie--wojna-i-nowa-tozsamosc/>

<http://www.cultureave.com/dostrzec-piekno-czlowieka--tadeusz-jaworski-1926-2017/>